Nr. 1

ZEW MŁODYCH

ORGAN
SAMORZĄDÓW
SZKÓŁ
ŚREDNICH
W WIELICZCE

WRZESIEŃ-
PAŹDZIERNIK
ROK 1937 (2)



WIELICZKA 1937

Rok II. Wieliczka, wrzesień-październik 1937 r. Nr 1

ZEW MŁODYCH

ORGAN SAMORZĄDÓW SZKÓŁ ŚREDNICH W WIELICZCE

OD REDAKCJI.

Wrześniowym numerem naszego miesięcznika rozpoczynamy drugi rok naszej pracy. Nie będziemy po raz drugi wyłuszczać naszych celów, naszych idei. Mieliście możność poznania ich w ciągu dotychczasowej naszej działalności.

Dzisiaj nawołujemy Was do jednego. Byście uczynili „Zew" przez Wasze artykuły regrezentantem wszystkich zainteresowań i prądów, nurtujących w naszym małym społeczeństwie. Dziś oddajemy Wam „Zew" w nowej szacie z tą myślą, że z nami szczerze będziecie współpracować i jak najściślejszy kontakt z nami będziecie utrzymywać.

Po wakacjach.

Tak dziwnie szybko nadeszla ta chwila —
Tak prędko przeszly wakacje w wspomnienia
Krótko trwał żywot barwnego motyla —
Znowu pracować trzeba bez wytchnienia.

Plaża, wycieczki, swawolne żarciki
Co na wakacjach komuś się płatało —
Patefon, tańce, sztubackie... flirciki
Zda się, że było jednak tego mało!

I znowu praca, twarda, aż do końca!
Znów kucie słówek albo koniugacyj,
Aż wreszcie błyśnie letni promyk słońca
I doczekamy się nowych wakacyj.

ś. p. Roman Hasslinger



Gdy znajdę się jesienią pośród drzew, gdy widzę, jak spadają ich liście przepalone złotymi promieniami słońca na ziemię i tak marnie kończy się wiosna i lato ich życia, przychodzi mi na myśl człowiek, jego życie — tak krótkie w stosunku do wieczności, jak życie tego liścia do wiekowego drzewa. I nasuwa mi się mimochodem podobieństwo tego najstraszniejszego prawa natury, przed którym każdy człowiek musi ulec — do wiatru, przed którym liście sa bezwładne. I zabiera ten wiatr, zwiędłe, zmęczone liście, ale zabiera też ten sam wiatr liście żywe i zielone jeszcze i rzuca je w proch ziemi. I gdy śmierć zabierze człowieka zwiędłego, zmęczonego — to musimy się z tym pogodzić, ale gdy zabierze żywego, młodego, w pełni sił, to mamy w sercu jakieś uczucie niesłuszności, krzywdy, z ust wydzieru się niepokojące pytanie: „dlaczego?" Pozostaje wtedy po tym człowieku pustka, napełniona bezgranicznym bólem i żalem, a nici i węzły, które nas z nim łączyły, zostają bezlitośnie przerwane.

Takie nici i węzły zostały nagle przecięte, lakoniczną, suchą, a tak pełną dla nas wymowy i bólu, wiadomością o Twojej śmierci. W jeden letni, pogodny dzień tak, jak wiele innych, z nurtem rzeki, którą pokochałeś rodzinnym przywiązaniem, odpłynęło Twe krótkie, młode życie. Nie mogliśmy uwierzyć, że człowiek, z którymśmy żyli i rozmawiali — ot wczoraj prawie odszedł na zawsze.

Gdy przyszliśmy do szkoły, do sali, gdzieś Ty był, zatopiony przez długie dnie, aż do późnej nocy, w swej ukochanej pracy gdy braliśmy do ręki przyrządy, którymi Ty pracowałeś nie zobaczyliśmy Ciebie, ani nie usłyszeli zrozumieliśmy, że Cię niema, że pozostało po Tobie próżne miejsce, którego nikt nie zapełni. Zrozumieliśmy, że straciliśmy człowieka szlachetnego i o wielkim sercu, profesora — przyjaciela.

Rozejdziemy się w świat, pójdziemy w życie, a gdy przyjdzie nam z nim walczyć — to w takich chwilach przypomnimy sobie zawsze o Tobie, o Twoich radach i naukach. Będziesz stał na drodze życia każdego z nas, jako Ten, co prowadzi do celu — do szczęścia, miłości i prawdy.

WITOŁD FIGLEWSKI

Ten, co od nas odszedł...

Pamiętam dobrze tę chwilę... przyszedł do nas młody, pełen energii. Od pierwszej chwili jakoś dziwnie prędko zaczął zyskiwać nasze uczucia młodzieńcze. On stawał się naszym, my Jego dopełnieniem. Nie znał nigdy granicy, dzielącej od przyjaźni profesora-przyjaciela i ucznia. Był zawsze dla nas uprzejmym i miłym. My odwdzięczaliśmy się Mu gorącym uczuciem wdzięczności i szczerym przywiązaniem.

Zawsze Go można było spotkać wieczorem, siedzącego w pracowni fizycznej. Nie baczył na to, że przyjechał rano do gimnazjum, że przeszły już godziny zajęć w klasach, że przeszła pora obiadowa, że wreszcie nastał wieczór. Prof. Hasslinger zajęty pracą nie zwracał na to uwagi. Późnym dopiero wieczorem odrywał się od niedokończonego przyrządu fizykalnego, by narzucić na siebie płaszcz i jechać do domu — do Krakowa. To codzienne światło w sali fizycznej stawało się powoli rzeczą powszednią, zupełnie naturalną. Przywykliśmy do tego, jak do czegoś stałego.

Przeszedł rok jeden — zaczął się drugi. W rozkładzie dnia prof. Hasslingera nic się nie zmieniło. Po dawnemu pracował, a tylko zamiast o 7-mej, jak to czynił w roku pierwszym, częściej jechał teraz o 9-tej.

Przyszła zima. Pamiętam jak w pewien zimowy poranek przyszedł do naszej klasy na pierwszą godzinę cały zmieniony na twarzy. Trwożliwym głosem pytamy o powód. Długo nie chciał powiedzieć. Aż wkońcu ubłagany zaczął swym miłym głosem opowiadać, jak to poprzedniego dnia do późna pracował w „fizyce" i dziś z tego powodu spóźnił się na pociąg. Nie czekając do następnego, przyszedł pieszo, nie chcąc się spóźnić na godzinę. W kilka dni potym wybrałem się w godzinach wieczornych do „fizyki". Kiedy wszedłem i pierwszym rzutem oka ogarnąłem całość, zobaczyłem profesora, siedzącego, nad kilku najzwyklejszymi słojami. Będąc przyzwyczajonym do naszych wizyt, odrazu zaczął mnie profesor objaśniać, że sporządza ogniwa, za które musiałby w firmie zapłacić o 50 /₀ drożej. Zasypywał mnie przy tym szeregiem cyfr, ile co go kosztuje. Podziwiałem Jego bezinteresowność. Był młody i mógł swoją młodość inaczej wykorzystać. Kosztem zaopatrzenia pracowni w najniezbędniejsze przyrządy tracił cały swój wolny czas.

Nadeszły wakacje. Swiatło w gabinecie fizykalnym któregoś wieczoru zgasło — prof. Hasslinger wyjechał na odpoczynek do Pienin, tam gdzie Dunajec wbija

się swą błękitną wstęgą w skaliste podnóża gór. Jakże pięknym jest ten krajobraz. Ukochał go i profesor Hasslinger. Wyjeżdżał tu prawie zawsze ne wakacje. Nic dziwnego. Urodził się w górskiej ziemi i ona miała go pochłonąć na wieki, a Dunajec miał Go objąć swymi wodami choć na chwilę, przytrzymać i oddać na zawsze nowosądeckiej, naddunajeckie, ziemi...

W. B. VIII.

Z ŻYCIA NASZEGO.

Uroczystość Dziesięciolecia i Poświęcenia Sztandaru I. Druż. Harcerzy w Wieliczce.

Z okazji zakończenia dziesięciolecia etapu pracy I. Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki w Wieliczce, odbyła się dnia 6 czerwca 1937 r. piękna uroczystość harcerska, połączona z poświęceniem sztandaru I. Drużyny. Uroczystość ta dzięki dużemu zakresowi, przyjęła charakter manifestacji harcerskiej na terenie naszego miasta — stała się ona wyrazem rozwoju naszej organizacji na terenie Wieliczki.

Dzień przed właściwą uroczystością harcerze wieliccy dali po kaz obozownictwa, rozbijając w parku Adama Mickiewicza obóz harcerski. Tego rodzaju impreza stosowana już po raz drugi w Wieliczce, ściągnęła liczną publiczność, zapoznając ją ze sposobem obozowania harcerzy.

Właściwa uroczystość odbyła się w dzień następny tj. w niedzielę. Rano o godzinie 9-tej zebrały się hufce harcerskie na Rynku Górnym, celem złożenia raportu władzom harcerskim i samorządowym. Następnie karnie i sprawnie udały się oddziały wraz z orkiestrą do kościoła na nabożeństwo. Jest to jedna z najpoważniejszych chwil, jakie przeżywamy. Ksiądz z ambony przypomina nam o naszym najważniejszym obowiązku harcerskim — pamiętaj, że harcerz musi służyć Bogu i Polsce! O tym przypomina ci sztandar, na którym jest wyszyty krzyż i orzeł: Bóg i Ojczyzna — ten sztandar należy czcić i uważać za świętość.

Ksiądz kończy kazanie, msza święta trwa dalej. Po skończonym nabożeństwie śpiewają harcerze „Modlitwę harcerza“: „O Panie Boże, Ojcze nasz, w opiece Swej nas miej...“.

Wychodzimy z kościoła i idziemy przed specjalnie zbudowany ołtarz na północnej ścianie kościoła. Następuje właściwy akt poświęcenia sztandaru. Dokonuje go ksiądz kapelan hufca harcerzy — prof. Marcin Siedlecki. Sztandar zostaje poświęcony a Ko-

mitet Honorowy, Rodzice Chrzestni oraz przedstawiciele miejscowego społeczeństwa wbijają do drzewca poświęconego sztandaru gwoździe pamiątkowe. Zkolei następuje przekazanie sztandaru drużynie — drużynowy klęcząc składa ślubowanie; uroczyście brzmią słowa: „Posłuszny prawu harcerskiemu w pełnieniu służby Bogu i Polsce — składam ślubowanie na cześć i honor: mojemu sztandarowi wiernym będę!" Złożywszy ślubowanie otrzymuje z rąk Przewodniczącego K. P H. druha prof. T. Korpala sztandar, który przekazuje sztandarowemu drużyny I. Drużyna otrzymała sztandar! Akt poświęcenia skończony. Następuje defilada hufców.



Przysięga na sztandar.

Przed zgromadzonymi na stopniach magistratu władzami przemaszerowują karnie przy dźwiękach orkiestry drużyny. Pierwsza idzie w dziesięciu czwórkach ze sztandarem „Jedynka". Jasne i dumne są oblicza druhów: „Wszak dzisiaj otrzymaliśmy własny sztandar — stanęliśmy w gronie tak nielicznych na terenie Polski drużyn mających własne sztandary..." Serca silniej biją młodym druhom — ale też silniej biją i starszym, patrzącym na dziarsko maszerującą młodzież harcerską. Przed nimi kroczy ochoczo młodzież — ich córki i synowie — zorganizowani w szykach harcerskich. Te szyki przygotują ją do życia w naszym społeczeństwie i uczynią z niej wzorowych obywateli...

Defilada skończona — wszyscy udają się teraz do sali gimnastycznej Państw. Gimnazjum, gdzie ma się odbyć uroczysta akademia. Rozpoczyna ją przemówienie dha Przewodniczącego K. P. H., któ-

ry przedstawił cel i założenia ideowe ruchu harcerskiego, przytaczając również słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego w rozkazie do żołnierzy z 1920 roku, w którym Marszałek dziękuje harcerzom za ich dzielne zachowanie się w czasie walk o niepodległość i podkreśla żywotność



Raport.

organizacji harcerskiej. Następnie podał dh. Przewodniczący w krótkim zarysie historię rozwoju ruchu harcerskiego w Wieliczce, a na zakończenie podkreślił znaczenie dzisiejszego święta. Po przemówieniu nastąpiły deklamacje, występy chóru Gimn. Żeńskiego, oraz orkiestry Zakładu w Pawlikowicach, wkońcu zaś dh. Stanisław Niewiadomski, były drużynowy, jeden z założycieli „Jedynki" odczytał historyczny rozkaz z dnia 15 marca 1927 r. Hymn państwowy zakończył akademię a z nią poranny program uroczystości.

Wieczorem odbył się najwięcej harcerski pnnkt propramu tego dnia, t. j. ognisko. Zgromadziło ono b. dużo widzów, którzy dzięki umiejętnnmu prowadzeniu ogniska przez druhów „Bacę" (harcmistrza Tadeusza Wąsowicza) i „Swiszczącego Bobra" (podharcmistrza Stanisława Niewiadomskiego) musieli wziąć w nim czynny udział. Przy palącym się ogniu nastąpiło choć chwilowe zbratanie wszystkich obecnych. Popłynęły pieśni harcerskie, w których brać harcerska dała wyraz swemu uczuciu. Trzonem ogniska było przyrzeczenie harcerskie 32 kandydatów na prawdziwych karcerzy. Odebrał je dh. Swiszczący Bóbr, który uprzednio w swej gawędzie mówił o sile i trwałości idei harcerskiej wśród harcerzy. Jeżeli ktoś raz został prawdziwym harcerzem, to został nim na całe życie. Choćby nawet wystąpił ze

związku, to jednak jakaś nieokreślona siła zaprowadzi go znowu do ogniska nie pozwoli mu z tej braci harcerskiej — z jego rodziny — wystąpić. Druhowie składają przyrzeczenie na sztandar. Głosy ich wymieniające słowa ślubowania lekko drżą — rozumieją doniosłość chwili — rozumieją, że przyjmują ciężki obowiązek — przyrzekają bowiem „całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu! Po przyrzeczeniu nastąpuje hartowanie nowych harcerzy. Opala się ich nad ogniem, żeby stali się wytrwałymi w pełnieniu obowiązków harcerskich. Po przyrzeczeniu, znowu śpiewy i pokazy. Wspólna modlitwa zakończyła ognisko oraz wszystkie uroczystości.

Dzień 6 czerwca minął — ale został od tego dnia sztandar harcerski, pod którym będzie się rozwijał dalej — ze zwiększoną jeszcze siłą — ruch harcerski na terenie naszego miasta, dążąc dc uharcerzenia środowiska i do wytworzenia w nim prawdziwych obywateli.

Odpowiedź „Wieliczaninowi".

Wydając dwa pierwsze numery naszego skromnego pisemka, nie mogliśmy się spodziewać że nabiorą tak wielkiego rozgłosu i dotrą aż — do dalekiego Poznania. Będzie to pewnie miłą niespodzianką dla sympatyków naszego pisma, że tak się nami interesują w szerokim świecie. No, ale żeby przekonać, że nie bujamy — konkrety. Otóż poznańskie pismo „Orędownik“ z szumniejszym tytułem „Ilustrowany dziennik narodowy i katolicki“, w swoich „Wędrówkach po Polsce“, prowadzone za rączkę, przez jakiegoś tajemniczego osobnika, ukrywającego się pod puklerzem niewiele mówiącego pseudonimu „Wieliczanin“, zawędrował aż do naszego niebardzo podłego miasteczka. I byłoby wszystko dobrze, ale gdy przeczytał nasz „Zew“, zapałał świętym oburzeniem, zaczął rzucać na nas gromy i zapłakał rzewnymi łzami nad upadkiem moralnym i umysłowym solnego grodu.

Ale ad rem. Artykuły te ukazały się w dwóch numerach 164 z dn. 21 i w 171 z dn. 29 sierpnia 1937 r. Za punkt wyjścia do całej tej sprawy stanowi dla „Wieliczanina“ historia tutejszego gimnazjum. Nie będziemy się w nią zagłębiać, bo to nie należy do nas, ani nie interesuje czytelników. Pragniemy tylko zdjąć błoto rzucane przez autora na osobę b. dyr. Jaworskiego Był on Polakiem, nie zaś Rusinem, jak czytamy w „Orędowniku“, kochał młodzież, cały jej się oddał i jak nas informują w Wieliczce (bo myśmy go nie znali) był nie tylko przez uczniów szanowany i uwielbiany, ale i przez rodziców. To był wstęp (nie nasz, ale „Orędownika“). A dopiero potem wychodzi z poza kurtyny historii — pra-

wdziwe oblicze i sens artykułu. Pismo nasze to organ nowopowstałego O. Z. N.-u a my jesteśmy „sanatorami". Na łamach naszego pisma propagujemy hasła O. Z. N., trzymamy spółkę z żydami, wywyśmiewamy praktyki religijne „kryjąc się za autorytet polskiego rządu i jego przedstawicieli".

O naiwności ludzka! Granica twoja jeszcze nie osiągnięta zdaje się, jeżeli tak można pisać. Szkoda, że autor nie nazwał nas komunistami, bo to by większy może efekt wywołało. Nie chce on w żaden sposób zrozumieć, że nasze małe pismo nie zajmuje się żadną polityką, Nie jest ani „bezpartyjnym", ani sanacyjnym, ani endeckim, jakby tego chciał). My stoimy poza polityką, jesteśmy na nią za młodzi i niedoświadczeni, a zajmujemy się tylko sprawami własnymi, obu gimnazjów i naszego miasteczka. Pismo to służy do wymiany naszych poglądów i ma być pewnym urozmaiceniem w życiu studenckim. To jest nasze credo — a nie politykierstwo. Jako zaś prawdziwi Polacy, pragniemy pracować i oddać wszystkie nasze siły dla Ojczyzny. A ponieważ hasło to, w myśl wskazań Marszałka Józefa Piłsudskiego, który będzie dla nas zawsze największym autorytetem i przewodnikiem naszym — i Jego następcy, Marszałka Rydza-Smigłego, podjął O. Z. N. — dlatego piszemy o nim i zajmujemy się nim.

Niemile dotknął autora, artykuł o korespondencji z Bułgarami. Zarzuca nam, że piszemy listy z młodzieżą żydowską i nie po polsku, lecz po niemiecku. Otóż dlatego piszemy po niemiecku, bo chodziło o wyćwiczenie się w tym języku i o wprawę, a nie po bułgarsku bo tego jezyka nie znamy i nie uczymy się — oni zaś chodzą do niemieckiego gimnazjum. Korespondencja ta miała charakter nie rozrywkowy, lecz naukowy, służyła do pogłębienia naszych wiadomości. Koledzy, zaś nie byli żydami, lecz rodowitymi Bułgarami, wyzn. gr.-kat. Tylko może teraz na wakacjach zmienili ad hoc wiarę, aby autorowi dać materiał do szkalowania, albo chyba oglądał ich metryki w Warnie, gdy tak się upiera. Na ten temat nie będziemy więcej odpowiadać ludziom, którzy mają jakieś niedowarzone pomysły. Bo taka wymiana listów, napewno sto razy większe korzyści przyniosła niż ta polemika. Z tej pierwszej korzyść jest taka, że daliśmu poznać kilku obcokrajowcom — Polskę naszą, w całej krasie, a my poznaliśmy ich słoneczną Ojczyznę (zresztą nie jest tu miejsce na pochwały i zasługi). Z tej ostatniej zaś korzyść — trochę papieru do palenia. *Red.*

Felieton na wesoło.

...Słońce zachodziło czerwieniąc szczyty gór. Purpurą gorzał łysy szczyt Ceretnika, z poza którego różowił się pokryty lasami Jałowiec. Nad nim majestatycznie wznosił się różowo-fioletowy od odblasków słonecznych na śniegu szczyt Babiej Góry. Na zachodzie ciemniało Skrzyczne...".

Rozpisany w tej zaczynającej

się „znośnie“ opowieści, która była nastrojona wybitnie sentymentalnie, nie słyszałem nawet, że ktoś do mnie mówi. Dopiero solidny „prosty“ zmusił mnie do podniesienia głowy z nad zabazgranych arkuszy.

„Co piszesz? — zapytał kolega redaktor i nie czekając na odpowiedź mówił dalej: Tylko mój drogi, koniecznie na wesoło, inaczej numer nie będzie miał powodzenia. Chciałem coś odpowiedzieć, lecz nie miałem niestety karabinu maszynowego, zaś nawet otrzaskany prelegent radiowy nie może sprostać znakomicie wyszkolonemu w kunszcie wymowy językowi kolegi redaktora. Skapitulowałem zatem i obłożywszy się wysokim wałem pism hymorystycznych, miałem szczery zamiar spróbować popularnego u nas sposobu „ściągania“. Niestety brak potrzebnej wprawy zmusił mię do samodzielnego pisania i w ten sposób straciłem możność zdobycia srebrnego wawrzynu. Ponieważ jednak każdy żołnierz nosi buławę marszałkowską w tornistrze, sądzę, że każdy „pismak“ nosi wawrzyn na plecach.

Podał mi niedawno jeden z kolegów sposób na łatwe i tanie urozmaicenie naszych szarych i nudnych pauz. Mianowicie nadawałoby się popularne obecnie „koncerty życzeń“. Pomysł w zasadzie dobry, tylko, że do koncertów nadawanych w naszej hali należałoby zastosować system koedukacyjny. Wyobraźmy sobie taki koncert. Oto spłakany uczniak wchodzi na halę, przez chwilę słucha, poczem nie baczy już na dwóję, którą dostał, śmieje się wesoło i tak szczerze, że nawet po dzwonku w klasie nie może się uspokoić. Nic dziwnego...

Oto popularny kolega „Siapek“ objął funkcje naczelnego speakera i woła głosem lwa:“

— Dla K. L. K. nadajemy pieśń z operetki „Piękna Helena“ Offenbacha — i zaraz płyną słowa:

Z lasku idą trzy boginie (czytaj z parku)
Spór zacięty wiodą wraz
Każda z nich pięknością słynie
Któraż najpiękniejsza z nas?

Tę zagadkę rozwiązał podobno Klub Romantyków, dla których nadamy: „Ty moje serce masz“ Lehara.

„Neoromantykom“ nada się „La donna e mobile“ z „Rigoletta“.

Jednemu zaś z kolegów, który niedawno dopiero ukończył „Bezgrzeszne lata“ a teraz studiuje „Przylądek dobrej Nadziei“, usiłując przekroczyć Rubikon, co mu się niezbyt udaje — zagramy: „I zakwitły znów jaśminy“ innemu, który z powodu małych zalet towarzyskich bywa tylko wyjątkowo w towarzystwie płci nie słusznie zwanej słabą, każemy zaśpiewać.

Uśmiech na ustach, choć w sercu jest ból
To najtrudniejsza z życiowych jest ról
Boleść ukrywać pod uśmiechem
By nikt nie wiedział, co kryje ten śmiech.
(Kraina uśmiechu Lehara).

Komitetowi redakcyjnemu w Gimnazjum żeńskim nadamy płytę „Więcej gazu“, nakoniec zaś osławionemu „Rixowi“ — „Mów do mnie jeszcze“, w wykonaniu autora. Ponieważ zaś dykcję mam nie zawsze poprawną, zatym zmienię słowo „mów“ na „pisz“. To samo nadamy „Wieliczanowi“.

A teraz zwracam się z małą prośbą do koleżanek, które sięgają po laury i wawrzyny, zasypując nas pytaniami o „Zewie“, ale gdy on się ukaże, jakoś nie mają go zbytniej ochoty kupować. A więc jeżeli chcecie mieć tematy do dyskusji to kupujcie naszą gazetkę, bo inaczej ogłosimy plajtę, a Koleżanki z komitetu redakcyjnego stracą zaszczytny tytuł redaktorek.

B. S. S.

Było ich dwóch.

(humoreska).

O prawdziwą przyjaźń bardzo trudno. Ostatni jej przykład znam z kl. 6-tej. Żył tam Bawół, sąsiad Jelenia i Jeleń, sąsiad Bawoła. Chodzili obaj zawsze razem i mieszkali też razem. Byli z tych, co to mówią: „co twoje to i moje, a co moje — nic ci do tego“.

Jeden, to znaczy Bawół, był niski i gruby, ale miał jedną wadę, lubił poetyzować. Mówił, że ma żyłkę do poezji.

— Masz nawet żylaki — gadał mu Jeleń i przestrzegał go przed skutkami poetyzowania, ale i to i tak nic nie pomagało.

Jeleń odznaczał się zaś nadmiernie chudym tułowiem i długimi nogami. Przewyższał wzrostem o połowę Bawoła.

Ale pasowali do siebie. Jeden był „dopełniaczem“ drugiego i naodwrót. Dziwnym trafem nazwiska ich zaczynały się na tę samą literę alfabetu i do tego początkową, co dla nich wcale korzystnym ani też przyjemnym nie było. Nieszczęsna litera była powodem wielkich i małych tragedii w szkole.

Mieszkali razem na stancji, gdzieś na peryferiach miasta. Tam było im podobno bardzo dobrze. Dostawali na 1-szego zazwyczaj po 5 zł z domu na codzienne potrzeby, więc forsy mieli dosyć aż do... 3-go.

Z garderobą było jeszcze lepiej. Jeleń miał płaszcz, który służył jako okrycie codzienne i nocne — dwie pary skarpetek i dwie pary spodni: studenckie i

cywilne „pompki“, używane przez obydwóch w czasie wielkich uroczystości, oczywiście na zmianę. Bawół miał tylko jedną parę spodni. A jakie to były spodnie — pożal się Boże — niewiadomo było, co stanowi spodnie właściwe, a co łaty. Ale Bawół wyglądał w tych spodniach, jak gentleman.

Pokoik, w którym mieszkali — miał cztery kroki wzdłuż i trzy wszerz — i co najważniejsze — świeży przewiew. Często sobie tam poświstywał wiatr, wyjąc przeróżne dzikie melodie, ganiając przez okienko lub komin do wnętrza pokoiku.

Jedli dwa razy dziennie i dwa razy się kłócili z gospodynią domu — raz, gdy wychodzili, drugi gdy przychodzili. Byliby strasznie zmartwieni, gdyby było inaczej. Dwa razy na dzień drewniane strome schody, prowadzące do ich pokoiku — dudniały jak step po przejściu stada bawołów. Zazwyczaj wylatywała wtedy gospodyni, z krzykiem (i miotłą): „Co to jest, rany boskie? Chałupę chcecie mi zawalić, czy co?

— „Że też pani niema nic do roboty, jak tylko na nas krzyczeć. Przecież my nic nie robimy“, z niewinną miną opowiadali obydwaj i ulatniali się szybko, nie chcąc zawrzeć bliższego kontaktu z miotłą pani gospodyni.

Kiedy zaś wieczorem Bawół ściągnął buty — Jeleń ściągnął buty — przylatywała znów gospodyni: Jezus, Maria, ja nie mogę. Psami was wyszczuję, kijami przepędzę a będę miała spokój.

Po półgodzinnej mowie udawała się na dół, a Bawół i Jeleń tymczasem kładli się do łóżka i zasypiali snem sprawiedliwych. Sypiali na jednym łóżku — przykrywając się tym, co Jeleń płaszczem z Jelenia i odwrotnie.

Rano Bawół otwierał oczy i budził Jelenia. „Kiszki mi marsza grają“ mówił — wstając zaspany Jeleń.

— Może piwko, uważasz, nie? — Bawół na to.

— Na czczo nigdy nic nie jem — wypowiadał sentencję Jeleń.

Umyli się — przyodziali, w co mogli i wyruszyli w drogę do „budy“.

Mieli wspólne książki, więc Jeleń niósł jedną połowę książek, a Bawół drugą lub naodwrót. Drogę skracali sobie wszelkiego rodzaju rozmówkami aktualnymi w dobie obecnej. Czasami Jeleń wygwizdywał najnowsze przeboje i szlagiery jak „Skrwawione serce“ lub „Umówiłem się z nią na 9-tą“, a Bawół akompaniował mu mruczando. Do „budy“ przychodzili dosyć wcześnie, rozumiejąc zresztą całkiem słusznie, że lepiej siedzieć w ciepłej klasie, choć tchnącej atmosferą greki i łaciny, niż w zimnym pokoiku „pod daszkiem“.

W klasie siedzieli obaj w tej samej ławce. Obaj zawsze „ryli“ z różnych przedmiotów. Raz nawet obaj razem zdali. Było wtedy święto. Bawoł podobno z radości pocałował wtedy gospodynię, ale biedak nic nie mógł po tym przez tydzień wiąć do ust. Jeleń tylko się śmiał, bo on mógł, ale nie miał co. — Udawali, że ich złości losu pokrewieństwo, ale kochali się. (c. d. n.).

Z TEKI KRAJOZNAWCY.

Z wędrówek wakacyjnych.

Gdy po długich, deszczowych i ponurych dniach, (których nam tego roku lato nie szczędziło) nadejdzie wreszcie upragniony, słoneczny, taki prawdziwie letni dzień, to sama dusza rwie nogi, aby gdzieś lecieć przez pola, miedze, drogi — takie przysłowiowe „polskie“, gdzie trzeba iść boso, buty wziąwszy na ramię. Ale, czy to właśnie nie przyjemniej? Zamiast eleganckimi półbucikami wystukiwać melodię nudy i codzienności na brukach miast i zdrojowisk można raz choć iść po takiej ciepłej wilgotnej, pachnącej ziemi boso (mając z nią najbliższy kontakt) — iść, kąpiąc się w potokach słońca, wśród złotych zbóż, błękitu nieba i zieleni. I wtedy dopiero człowiek jest wolny — nieskrępowany białymi liniami na asfalcie ani nie ogłuszony życiem miasta. Czyż na taki zew słońca może się powstrzymać kto? — a tym bardziej krajoznawca? — Nie! A. więc poszedłem.

Właściwie celem moim była przechadzka, której atrakcją miało być zwiedzenie kościółka z 16 wieku w Skomielnej Białej pod Rabką. Znajduje się tam też stary mszał z tego samego wieku, którą to datę (muszę się pochwalić) odnalazłem po długich poszukiwaniach, ku uciesze kościelnego. Ale spotkała nas miła niespodzianka, która była największym urozmaiceniem. Zobaczyliśmy dom, w którym kwaterował w 1914 r. we wrześniu J. Piłsudski, podczas marszu na Marcinkowice. Każdy wie, jak drogie są sercu Polaka pamiątki związane z osobą Pierwszego Marszałka, to też wiadomość ta poruszyła nas i zaciekawiła. Jako „Redaktor“ nie omieszkałem przeprowadzić wywiadu z gospodarzem tego domu. Nazywa się on Łopata Feliks i doskonale pamięta osobę Marszałka Piłsudskiego. Marszałek, ówczesny Brygadier, przybył do Skomielnej we środę przedpoł. i zamieszkał ze swym adiutantem w

tej chacie, podczas, gdy reszta żołnierzy stała poniżej we wsi. Przez całe prawie noce opowiadał gospodarzom o Polsce, o tym, jak zaczął o nią walczyć, o swoich przeżyciach i przygodach. Dużą część z tych opowiadań zachował jeszcze gospodarz w pamięci. W piątek w poł wyruszył Brygadier przez Luboń na Marcinkowice. Nad oknami izby, gdzie mieszkał, jest wycięty z blachy orzeł legionowy i napis: „J. Piłsudski tu kwaterował w 1914 r. Nasycony takim wrażeniem i jabłkami ze sadu gospodarza, zaczynam odwrót z krainy wspomnień, tak przecież niedawnej, a już do historii należącej — odwrót do zwykłej szarości i nudy zdrojowiskowego życia.

Witold Figlewski.

Czytelnia Koła Krajoznawczego, posiadająca bogaty zbiór książek i słowników goograficznych, oraz czasopism i przewodników krajoznawczych, będzie otwarta od 1-go października dwa razy w tygodniu, w godzinach wieczornych w sali geogr.

Sekcja rowerowa urządza dn. 3 października t. j. w niedzielę, w razie pogody całodzienną, ciekawą wycieczkę rowerami do Ojcowa, — 10 zaś października wycieczkę do Tenczynka. Koledzy, chcący wziąść udział w tych wycieczkach, zgłoszą się do prezesa Koła kol. Figlewskiego kl. 8.

Pierwsze tegoroczne zebranie Koła Krajoznaw. odbędzie sie z początkiem października. Obecność wszystkich członków konieczna.

KRONIKA NASZEGO MIASTA

Przywitanie wojsk z manewrów.

Wiadomość, że w Wieliczce odbędzie się powitanie oddziałów naszego wojska, powracających z manewrów letnich spowodowała w mieście i okolicy niemałe poruszenie. Przez blisko dwa tygodnie, całe miejscowe społeczeństwo z nieukrywaną niecierpliwością oczekiwało nato bądź co bądź niezwykłe dla naszego ośrodka wydarzenie.

W dzień defilady całe miasto zamieniło się nagle w jakąś bazę wojskową. Na ulicach wszędzie było można widzieć wyższych oficerów, którzy tutaj mieli omówienie ćwiczeń. Wśród wszystkich dało się wyczuć lekkie drżenie, lekkie zdenerwowanie. Rozmowy prowadzone były tylko na jeden temat. Wszędzie można było słyszeć: wojsko — wojsko — wojsko.

Na długo przed rozpoczęciem uroczystości, zaczęły się gromadzić na autostradzie wszystkie organizacje, młodzież szkolna i nieprzejrzane tłumy publiczności. Ulice Wieliczki, przez które mia-

ły przechodzić oddziały, zostały udekorowane flagami o barwach państwowych, a nadto autostadę ozdobiono jakby szpalerem sztandarów, zwisających z wysokich słupów.

Punktualnie — godzina 14-ta wchodzą na trybunę: d-ca D. O. K. 5 Gen. Łuczyński i Wojewoda Płk Gnoiski. Na drugiej trybunie widać Starostę Dra Wnęka, oraz przedstawicieli miejscowych władz i społeczeństwa. Pod trybunami zgromadzili się Oficerowie. Pomiędzy nimi był Gen. Piasecki D-ca samodzielnej brygady kawalerii. Za chwilę w oddali od strony Lekarki ukazuje się grupa oficerów na koniach. Na czele Gen. Mond, prowadzący całą defiladę; za nim cały sztab. Kilkaset metrów w tyle orkiestra.

Defiladę otwiera szósta dywizja krakowska. Na twarzach żołniezy znać wyczerpanie, znać zmęczenie, ale na głos wydawanej komendy prężą się głowy, zwracają w lewo i twardym krokiem przechodzą przed trybunami. Publiczność stoi narazie cicho. Wszyscy patrzą, jak urzeczeni — przecież Wieliczka widzi coś takiego dopiero poraz pierwszy. Niejeden dopiero poraz pierwszy ogląda defiladę wojska — a może i ostatni. A tymczasem przed trybunami przechodzi pułk za pułkiem, batalion za batalionem, kompania za kompanią..

Widzimy „Szesnastkę", „Dwunastkę" i popularne „Dzieci krakowskie" dwudziesty p. p. Tłumy dają się powoli porwać entuzjazmowi. Cozaz częściej rozlegają się okrzyki na cześć armii, coraz gęściej sypią się kwiaty na głowy maszerujących.

Tuż za pułkami piechoty idą oddziały pomocnicze. Kompania łączności, a za nimi saperzy. Chłopy wysokie, w okutych ciężkich butach przybijają, aż dudni, a kamienna nawierzchnia zda się uginać pod ich mocarnym krokiem. Nad nimi czerni się las karabinów i równe szeregi łopat. Rozlegają się entuzjazstyczne okrzyki, brawa, lecą kwiaty, a oni maszerują...

Tak potrafią iść tylko Polacy, tylko polski żołnierz. Z takim zapałem tak zawadiacko i z taką brawurą. Jakże ich krok równy, rytmiczny, różni się od wyuczonego stąpania Niemców. Przeszli... Za nimi artyleria — szósty PAL Dudnią działa, szczękają podkowy o bruk a przed nami posuwa się bateria za baterią. Każdy, stary czy młody, widzi już niemal, że namacalnie naszą potęgę. Widzi ten czynnik, na którym opiera się autorytet Polski na forum międzynarodowym, widzi armię stworzoną tytanicznym wysiłkiem przez Marszałka Józefa Piłsudskiego,

Jeszcze kompania radio-telegraficzna i krakowska dywizja przemaszerowała. Teraz nadchodzą Slązacy — piętnasta dywizja. Zołnierze w hełmach. I znowu płyną pułki: 71, 73, 75 Sląskie „pierony" odrazu pozyskały sympatię wszystkich. Rozlegają się teraz ciągle niemilknące okrzyki, kwiaty sypią się w dalszym ciągu, a oni idą i idą, przez swój marsz wyrażają dumę i radość, że są polskimi żołnierzami... przeszli.

Za nimi samodzielna brygada kawalerii. Ułani! Rodzaj broni dawno w Polsce ukochany. Odczuwa się to dziś, gdy na ich widok serca odrazu zaczynają drgać innym tętnem. Ułan polski — to spadkobierca sławy husar-

skiej Kircholmu i Wiednia, twórca wielkich czynów Rokitny i Krechowiec. Przejeżdżają. Tuż za ostatnimi szeregami zjawia się nagle, przysłonięte lekko mgiełką dymów spalinowych, z rytmicznym terkotem swych motorów-płuc – z głośnym klaskaniem gąsienic o jezdnię, oddział nowoczesnej kamalerii — kompania pancerna.

Szybko suną zwinne tankietki, strasząc wszystkich otworami swych szybko strzelnych karabinów maszynowych. Pomalowane barwami ochronnymi, zlewają się prawie z tłem ulicy.

Jako drugi oddział zmotoryzowany, ukazują się lekkie samochody pancerne. Jadą spokojnie a z wieżyczek patrzą groźne otwory działek i „cekaemów".

Przejechali, zniknęli gdzieś za zakrętem. Defilada skończona.

Przez dwie i pół godziny trzymała wszystkich w największym napięciu, dając obraz siły i sprawności armii polskiej.

Jagielski St.

Od Redakcji-

Z dzisiejszym numerem otwieramy kącik dla najmłodszych naszych współpracowniczek i współpracowników. Będzie to kącik „Dla najmłodszych". Jak najuprzejmiej prosimy koleżanki i kolegów z niższych klas o nadsyłanie artykułów.



Profesor na lekcji odzywa się do ucznia?

— Biernacki, słuchaj, z ilu kości składa się człowiek?

— Z dwustupięćdziesięciu jeden.

A ty — z ilu się składasz — pyta profesor z wesołą miną...

— Z dwustupięćdzieziętciu dwóch — odpowiada uczeń.

Dlaczego?!

Bo podczas obiadu zjadłem 1 kostkę — panie profesorze.

* * *

Wierny sługa.

Pan: Józef! Dlaczego nie wyczyściłeś mi trzewików?

Józef: Zabrakło pasty, proszę pana. Zaledwie wystarczyło na moje buty!

Dobry syn.

Do posterunkowego na ulicy przybiega zduszany malec i woła:

Panie posterunkowy, chodź pan prędzej, jeden gość przeszło godzinę bije się z moim tatusiem!!

To dlaczego teraz dopiero przychodzisz?

Bo przedtem mój tatuś był górą.

* * *

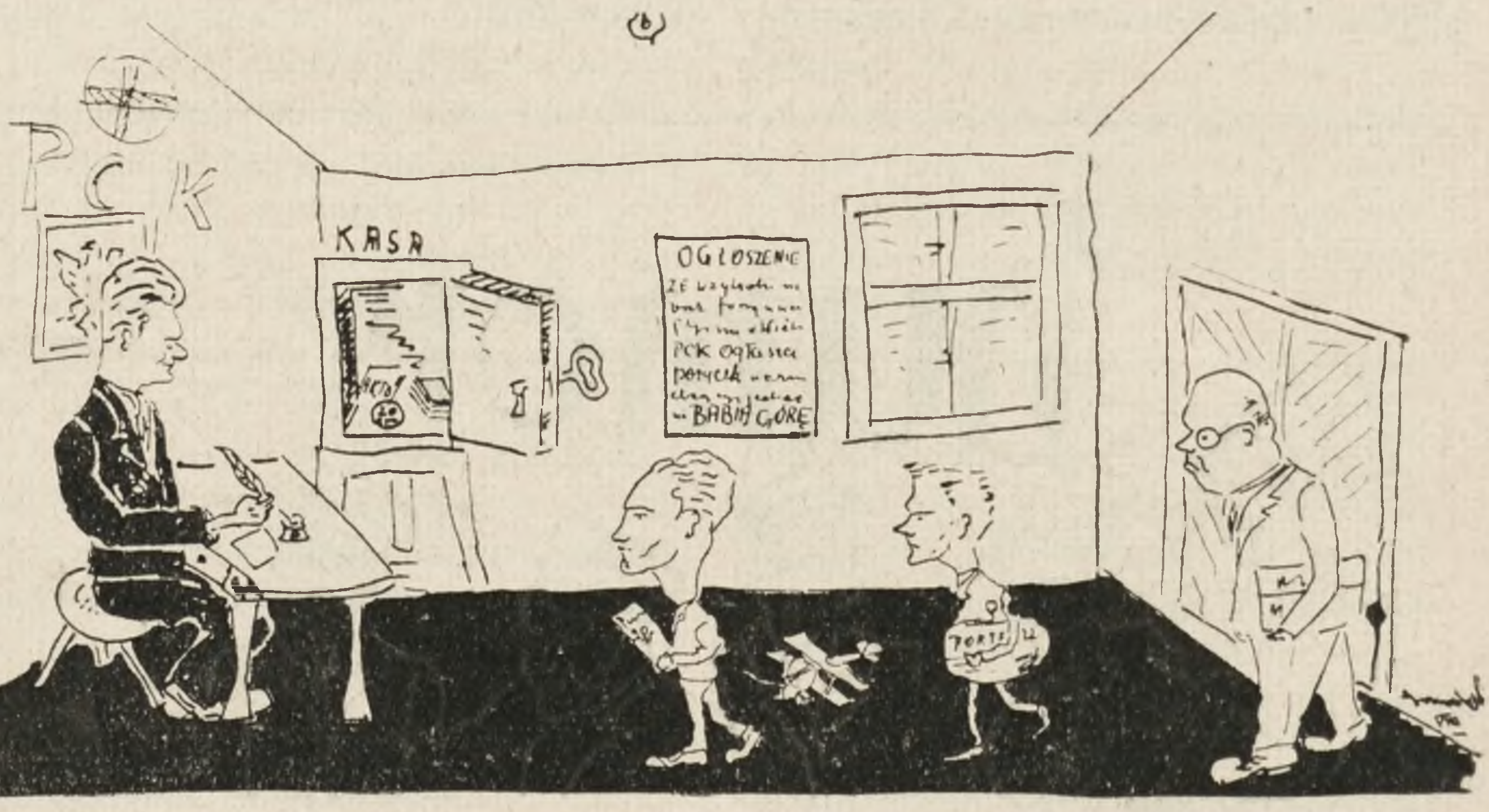
Pamiętajcie chłopcy! poucza nauczyciel, że znalezione przedmioty nie są własnością znalazcy.

Czy który z was znalazł już co?

Mój tatuś znalazł raz zegarek odpowiada jeden z uczniów.

—A ten zegarek czy tatuś zatrzymał?

Nie — odniósł zaraz do lombardu.



Jeśli na wycieczkę
nie starczy ci „floty"
Jak w dym idź do P. C. K.
a z nikną kłopoty..

OPIEKUN.: p. prof. Korpal, T. Liszka P., Dr. Stamm E., Dr Żywiec T.
RED. NACZ.: Bogucki Władysław. RED. ODPOW. Sobczak Feliks.
KOMITET REDAKCYJNY: kol. Czarnecka, Rozmusówna, Słowikówna, Stammówna, Figlewski, Jagielski, Liszka, Turek, Stankiewicz.
Redakcja urzęduje w Gimn. męsk. im. J. Matejki w poniedziałki i czwartki o godziny 5—6 popołudniu.

Drukarnia Leopold Dudek i Ska w Krakowie, Stolarska 6.

Drukarnia Leopold Dudek, Krakow, Stolarska 6.